

# Kronika tygodniowa.

Czytając zakończenie poprzedniej kroniki o owym jegomościu, którego pociągnięto do odpowiedzialności za zabicie Zająca w zakazanym czasie, pomyślał sobie zapewne niejeden z Czytelników, że autor, nie mając czem zapchać dziury, wynalazł sobie stary dowcip i puścił go w kurs.

Tak jednak nie było. Kto tak sądził, był w błędzie, anegdotka owa stanowiła bowiem tylko początek właściwy aktualnej a prawdziwej historii z ostatnich czasów, zostających pod znakiem różnego rodzaju kart chlebowych, cukrowych, kawowych, tłuszczowych i jakie tam jeszcze nastąpią. Niestety, dalszy jej ciąg padł ofiarą bezwzględności pana metrampaża, na którego już nieraz narzekałem i, da Pan Bóg, nieraz jeszcze będę musiał narzekać.

Co się jednak stało, odstać się już nie może, by złe naprawić, dokończenie umieszczam teraz na początku kroniki, a tutaj pan metrampaż jest już bezsilny!

Otóż, rzecz tak się miała. Do jednego z Urzędów parafialnych, gdzie i kiedy, to już mniejsza, w każdym razie rzecz dzieje się za naszych czasów, zgłasza się młoda para, mająca zamiar zawrzeć związek małżeński. — Ksiądz proboszcz, po dopełnieniu wszelkich formalności, jakie w tym wypadku przepisuje prawo kanoniczne, to jest po wyegzaminowaniu obojga nowożeńców, przystąpił do zbadania ich dokumentów. — Przeglądając je dokładnie, oświadczył, poprawiając okulary:

— Bardzo to ładnie, że się macie, moi drodzy, ku sobie, ale ja mimo to ślubu dać wam nie mogę!

— Dlaczego? — zapytał przestraszony młodzian.

— Bo papiery nie są w porządku!

— Papiery?... Są przecież metryki, jest uwolnienie moje z wojska, pozwolenie rodziców narzeczonej...

— Tak jest! Brakuje jednak najważniejszego dokumentu!

— Najważniejszego? — (zbaraniał już zupełnie) — Mianowicie?

— Mianowicie karty tłuszczowej!

— Karty tłuszczowej?!

Tu już oboje narzeczeni popatrzyli na siebie, nie rozumiejąc, czego ksiądz od nich żąda, ten zaś ciągnął dalej:

— Tak! Karty tłuszczowej! Narzeczona nazywa się Katarzyna Smalec, a pan wie, że na podstawie rozprządzenia władz wyższych pobieranie wszelkich tłuszczów dozwolone jest tylko za okazaniem oryginalnej karty tłuszczowej...

Jak sprawę załatwiono, tego nie wiem, o całym zajściu wspominam zaś jedynie z obowiązku kronikarskiego, aby potomność wiedziała, ile kłopotu mieliśmy i mamy w czasie wojennym z owymi różnorodnymi kartami.

Ot, nie tak dawno temu zgłosił się do mnie pewien pan — ludzie mają do mnie ogromne zaufanie, dowodem tego jejmość, która prosiła kronikarza o podanie jej najlepszego sposobu kisenia kapusty — z zapytaniem, czy nie będzie miał z tego powodu kłopotów, iż, choć nie posiada karty cukrowej, stwierdzili u niego lekarze w wysokim stopniu rozwiniętą cukrzycę. Tak daleko wiadomości moje nie sięgają, wysłałem go do Centralnego Biura rozdawnictwa kart wszelakich, gdzie nie odmówią mu wyjaśnienia.

A co to dopiero będzie po zaprowadzeniu dalszej seryi kart, w najbliższej pono przyszłości, na mięso, jaja, mleko i t. d. Każdy obywatel, wybierając się z domu do miasta, będzie musiał nosić osobną tekę z różnymi kartkami, jeden z pomysłów krawców przygotowuje nawet specjalnego kroju surduty i kamizelki, zaopatrzone w cały szereg kieszonek na ich pomieszczenie.

Rodzaj męski, dotąd mało mający kłopotów z modami, będzie miał więc nową modę aprowizacyjną lub kartkową (nazwy dotąd nie ustalono), zrówna się więc z rodzajem żeńskim, który, pomimo wojny i nawoływania do oszczędności pod tym względem, nie zrywa przecież z tradycją i, powiedzmy grzecznie, nieraz dochodzi do absurdów, ściągając, bardzo zresztą słusznie, na się oburzenie ludzi, trzeźwo na świat patrzących i bolejących nad tem, że nie dzieje się u nas tak, jak się dźiać powinno.

Dowodem tego list, jaki onegdaj otrzymałem. Treść jego jest następująca:

„Kochany Kronikarzu!

Nie przypuszczałem, że pisząc do Ciebie w sprawie letniej maskarady naszych „aniołów“, jeszcze raz będę zmuszony powrócić do tak nieaktualnego,

jakby się zdawało, podczas wojny tematu, jak moda... Niestety, okazało się i w obecnym jesienno-zimowym sezonie, że dla naszych pań jest ona istotnie królówką, która drwi nawet z wojny...

Wszystko musiało iść pod komendę Marsa, który, ujawniwszy w swe ręce rządy we wszystkich dziedzinach życia, zagląda nawet do garnków — wszystko, z wyjątkiem królowej Mody i jej wiernej armii niewieściej! Mars uląkł się widocznie tej potęgi, bo jak dotychczas, z zadziwiającą wprost pokorą znosi najoczywistsze prowokacje Mody, która w tym ciężkim, krytycznym czasie wszystko robi naprzekór wojnie i jej brakom. Bo proszę posłuchać... Co raz więcej daje się odczuwać brak materiałów sukiennych, których też cena wzrosła do niebywałych rozmiarów, więc moda nakazuje niewiastom nosić właśnie jak najszerze (po kilka metrów w obwodzie) spódnice! Brak zupełny skór, więc nasze „anioły“ muszą właśnie teraz nosić jak najwyższe buciki, za które płacą po sto i więcej koron. Niema wcale futer, więc dlatego właśnie moda nakazuje strojnisiom rzucić dawne małe futerka na szyję — i zdobywać choćby za najwyższą cenę (po 400 — 500 koron), olbrzymie płachty lisie lub skunksowe...

I Mars, który położył swą ciężką dłoń nawet na rondlach miedzianych i białych, patrzy spokojnie na to naigrawanie się Mody... Czas już jednak najwyższy, aby, pomimo całej galanterii dla dam, wypowiedział wreszcie wojnę tej przewrotnej władczyni rodu niewieściego. A sposobność potemu teraz właśnie się nadarza. Trzecia kampania zimowa za pasem, żołnierzy trzeba ciepło odziać, a brak już baranów na kożuszki żołnierskie. Są zato strojne damy z płachtami futrzanymi na ramionach... Jakże to wdzięczne pole dla rekwiżycji! Tem wdzięczniejsze, że nikomu nie przyniesie żadnej szkody. — Każdej z dam można za lisa ofiarować szalik, który lepiej ją osłoni od zimna, niż zwieszające się z fantazyą futro. A wiele z tych, służących tylko do ozdoby, futer może być ciepłych ubrań dla żołnierzy!

Rzucam tę myśl w nadziei, iż znajdzie należyte uznanie nie tylko w sferach wojskowych, ale i w najszerszych kołach „męczenników“ Mody t. j. ojców i mężów.

Ze Szanownym Autorem, który nie jest wcale wrogiem płci nadobnej, czego dowiódł, wstępując w związki małżeńskie, godzę się najzupełniej, sam zresztą nieraz już w kronice o różnych dziwactwach mody wspominałem, wytykając ich niewłaściwość. Spotkał mnie za to kilkakrotnie zarzut, że nie powinienem pchać nosa do interesu, na którym się nie znam, ja przecież nic sobie z tego nie robię i wracam znów do bardzo wdzięcznego tematu. Można mu poświęcić nie jedną, ale kilkanaście kronik i sprawa jeszcze nie byłaby należycie omówiona.

Po otrzymaniu przytoczonego listu, wybrałem się na linię A-B, na studia kostyumologiczne, przez co o mały figiel nie wlałem w kabałę, spotkała mnie bowiem Weronisia, gdy oglądał się za pewną niewiastą, której szyję ścisnął straszliwy boa — prawdziwy *constrictor* — rzeczywiście potwornych kształtów. Po polsku nazwano go słusznie „dusiciem“, wydusi bowiem z kieszeni mężowskiej ostatniego halerza. Jakże wyglądałoby, gdyby pani mecenasowa miała mniejszego „dusiciela“, niż pani sędzina?!

Otóż, zacna Weronisia, posadzając mnie o najpaskudniejsze rzeczy, zrobiła mi na miejscu małą awanturę na migi, zostawiając sobie libretto do tej małżeńskiej muzyki na później i nie chciała w żaden sposób uwierzyć, że to należy do mych kronikarskich obowiązków, by o wszystkim przekonać się na własne swe oczy.

Skonstatowałem więc, że na sto spotkanych niewiast, dziewięćdziesiąt siedm ozdobionych było „dusiciem“, pozostałe trzy mają dopiero zamiar zaopatrzyć się w nie i to w najbliższej przyszłości. Naturalista, gdyby chciał dokładnie badać owe okazy, dowiedziałby się o różnych potworach, jakich nie wymyśliła najbujniejsza fantazyja bajkopisarza. Widziałem więc lisa, mającego wprawdzie tylko jedną głowę, ale zato ośm nóg i dwa ogony, widziałem dziwnie bestye o trzech i czterech głowach i tyluż ogonach, spotkałem się nawet z jakimś iście apokaliptycznym okazem, u którego, tylko z tyłu, naliczyłem aż siedmnaście ogonów! Kuśnierz, u którego zasięgałem fachowych wskazówek, odpowiedział mi, że im taki zwierz zmyślniejszy, tem droższy i tem większym cieszy się pokupem.

Widząc więc damy z jednym, dwoma, trzema aż do siedmnastu ogonów, przypomniałem sobie dawne, lepsze czasy, kiedy to jako symbol dostojności noszono przed różnymi dygnitarzami tureckimi buńczuki, ozdobione końskimi ogonami. Ale jegomość sułtan miał prawo tylko do siedmiu, wielki

wezyr do trzech. I nasi hetmani używali buńczuków, wielki miał prawo do dwu końskich ogonów, polny tylko do jednego. Dzisiejsze niewiasty wyrobiły sobie inne prawa, ilość ogonków „dusiciela“ nie stoi w żadnym stosunku z ich godnością, powiedziałbym, dzieje się nawet odwrotnie, im ogonków więcej, tem powagi mniej.

Do garnituru należy jeszcze zarękawek, który w ubiegłym roku dochodził do takich rozmiarów, że zupełnie spokojnie można było w jego wnętrzu pomieścić korzec ziemniaków, troskliwa o swe pociechy mama, mogła bez obawy nosić w nim na spacer dwoje nieletnich dzieci. Dotąd, być może z powodu deszczowej pory, zarękawki się jeszcze nie pojawiły, nie mogę więc powiedzieć, jakich będą kształtów i wielkości.

Według opinii znawców taki „dusiciel“ ma za zadanie chronić szyję i górną część piersi od zimna, tymczasem sprawdziłem na własne oczy, że zakłada się go w ten sposób, by nie zakrywał wycięcia stanika, dochodzącego nieraz aż do... niemożliwości, bo to należy do szyku. Boa więc takie, jakiego dziś panie używają, nie służy do ochrony przed złośliwymi wpływami atmosfery, lecz jedynie do fanfaronady.

Ma więc Autor listu zupełną słusność, proponując rekwiżycję owych futer i zastąpienie ich zwykłymi szalikami, które bardziej odpowiadają celowi i, co najważniejsze, daleko mniej kosztują. Odechnęliby wówczas biedni ojcowie rodzin, których duszą wydatki na toalety dla ich lepszych połów, niewiasty nie będą sobie łamać głowy, jakiego wymyślić nowego potwora futrzanego, a poza tem będą wewnętrznie zadowolone, widząc, że przyczyniły się do dobrego celu, oddając niepotrzebne ozdoby na zaopatrzenie naszych dzielnych obrońców w to, co im w zimie jest najbardziej potrzebnem. Będą to prawdziwe *Liebesgaben*!

Nad tą sprawą dłużej zastanawiać się nie mogę, spieszę się bowiem na otwarcie pierwszej kuchni wojennej dla intelligencji! Wczoraj kupiłem sobie bilet obiadowy i otrzymałem numer 5115, z czego wnoszę, że popyt na tani i zdrowy wikt jest ogromny, jeśli *nota bene* wydawano bilety w zwykłym porządku, a nie n. p. od liczby 5000. U nas bowiem dzieją się różne nadzwyczajności. Onegdaj jechałem wozem tramwajowym nr. 501, mógłby więc dziwić się ktoś, kto słyszy narzekania, że Zarząd krakowskich tramwajów nie rozporządza należyłą liczbą wozów i posadzić narzekającego o złą wolę.

Kuchniom życzę rozwoju, na jaki zasługują. — Jest to instytucja w wojennym, ciężkim czasie służąca ze wszechmiar na poparcie ogółu, bo mająca ulżyć biedzie, jaka nam dokucza. Przy sposobności, gdy się nieco rozpatrzę w sytuacji na miejscu, poświęcę i im gorącą kronikarską wzmiankę, wiadomo bowiem, że droga do serca człowieka idzie przez żołądek i że niczem tak łatwo, jak dobrym obiadkiem, choćby nawet miał kosztować i koronę, można sobie zdobyć miłość i uznanie bliźnich.

Skoro już zawadziłem o aprowizację, muszę z zadowoleniem zanotować, że podobno nie brak nam już maki, będą też i ziemniaki i cukier, wieprzowina staniała, w Niemczech zaś, w Szwecji i Norwegii nałapano tyle śledzi, że wystarczy do obdzielenia całej Europy. Aby zaś uradować i nasze panie, dodam, że w Paryżu ogromnie spadły w cenie perfumy, co prawdopodobnie odbije się też i na naszych stosunkach.

Na dalszy ciąg wojny możemy więc czekać w spokoju, bo już z głodu nie pomrzemy. A koniec ten może już nie tak od nas daleki. Koalicyi powoli zaczyna mięknąć rura, gdy widzi, że coraz gorzej się jej dzieje. Zwłaszcza w Rumunii armie sprzymierzone czynią takie postępy, że maluczko, a król Ferdynand będzie musiał szukać gościny za granicami swej nowej ojczyzny i przyjdzie może do przekonania, choć po niewczasie, że to bardzo brzydko i nawet niezdrowo, gdy kto dopuści się wiarołomstwa wobec swego dawnego dobroczyńcy. Tak się złożyło, że Rumunia może bardzo łatwo podzielić los Belgii, Serbii i Czarnogóry i zniknąć z mapy Europy. Teraz dopiero pokazuje się, że król grecki Konstantyn, miał rozum, nie chcąc lekkomyślnie puszczać się na bystre fale, jak tego czwórporozumienie żądało. Jego koronowanych kolegów uniosły one i kto wie, czy szczęśliwie dobiją do brzegu, on jest jeszcze w tem miłym położeniu, że ma stały grunt pod nogami.

*Kalodont*